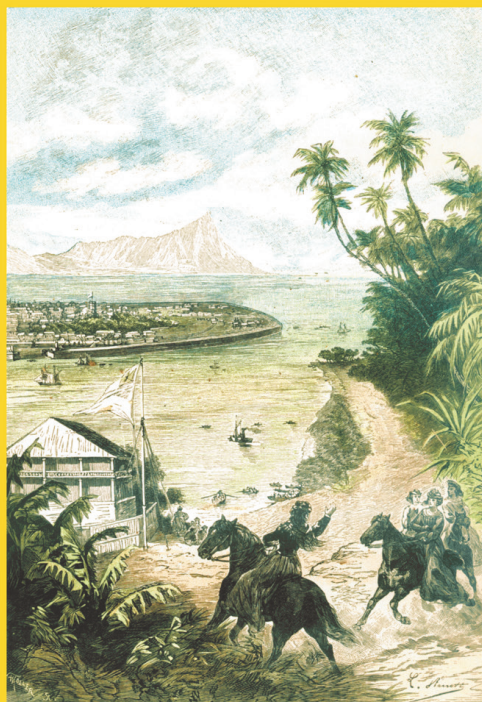




# Juliusz Verne

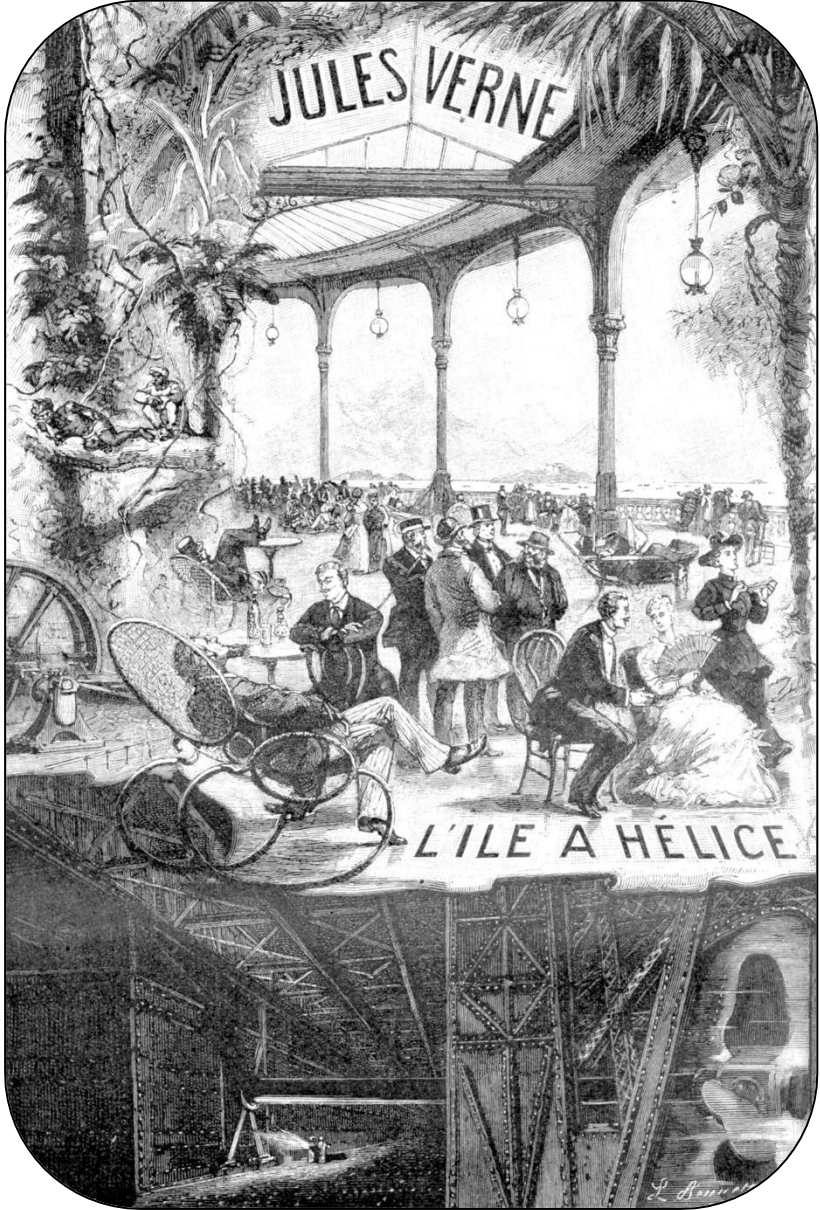
## Pływająca wyspa (Część pierwsza)



ISBN 978-83-66268-90-6 (całość)

ISBN 978-83-66268-91-3 (cz. 1)





**Juliusz Verne**

**PŁYWAJĄCA WYSPA**



# Juliusz Verne



## PŁYWAJĄCA WYSPA

Przełożyła i przypisami opatrzyła Justyna Nowakowska

**Dziewięćdziesiąta druga publikacja elektroniczna  
wydawnictwa JAMAKASZ**

Tytuł oryginału francuskiego:  
*L'Île à hélice*

© Copyright for the Polish translation  
by Justyna Nowakowska, 2021

81 ilustracji, w tym 12 kolorowych i 2 mapki: Léon Benett  
(zaczepnięte z XIX-wiecznego wydania francuskiego)

Redakcja: Marzena Kwietniewska-Talarczyk  
Korekta: Andrzej Zydorczak  
Skład: Andrzej Zydorczak

**Patron serii „Biblioteka Andrzeja”:  
Polskie Towarzystwo Juliusza Verne’a**

ISBN 978-83-66268-90-6 (całość)  
ISBN 978-83-66268-91-3 (cz. 1)

## Wstęp

Biografowie Juliusza Verne'a są zgodni co do tego, że jego twórczość powieściopisarską można podzielić na dwa okresy – optymistyczny i pesymistyczny. W tym pierwszym, przypadającym na lata 1863-1886, utwory Czardzieja z Nantes przepełnione były wiarą w postęp naukowy i niemalże nieograniczone możliwości ludzkiego geniuszu, później zaś, w latach 1886-1905, wkładało się do nich coraz więcej zwątpienia i czarnych wizji. Pisarz dostrzegł, że nauka wykorzystywana do niecných celów może być źródłem licznych zagrożeń, a ludzie nie są z natury dobrzy i gotowi do bezinteresownej działalności na rzecz ogółu. Typ szlachetnego profesora ustępował coraz częściej szalonemu i owładniętemu jakąś manią wynalazcy. To zgorzknienie brało się tyleż z pogłębionej obserwacji rzeczywistości, w której przyszło żyć autorowi „Niezwykłych Podróż”, co i osobistych doświadczeń, takich jak śmierć wielu bliskich osób oraz zamach na jego życie (stąd owa symboliczna data graniczna obu przedziałów czasu).

„Pływająca wyspa” powstała w tym drugim okresie i ówczesny stan ducha pisarza jest w niej bez wątpienia wyraźnie uchwytne. Łatwo dostrzec w tej powieści może nie tyle utratę wiary w samą naukę i napędzany nią rozwój, co w zdolność człowieka do korzystania z dobrodziejstw postępu cywilizacyjnego. Mamy oto do czynienia z doskonale zorganizowanym mikroświatem, będącym połączeniem dwóch emblematycznych dla Verne'a motywów – odizolowanego skrawka ładu i fantastycznego pojazdu. Jest to przestrzeń na wskroś nowoczesna, w której wygoda i funkcjonalność osiągnęły najwyższy dostępny w danym momencie poziom. Istotną rolę odgrywa w niej elektryczność, w czym dostrzec można wizjonerski geniusz klasyka fantastyki naukowej, a cały projekt służy garstce bogaczy, co rezonuje z dzisiejszym rozwarstwieniem ekonomicznym. Samobieżna enklawa dobrobytu i zbytku, przemieszczająca się tam, gdzie aktualnie panują najbardziej sprzyjające warunki klimatyczne, przypomina dzisiejszy Dubaj, z jego parkami wodnymi i sztucznymi stokami narciarskimi na rozpalonej słońcem pustyni, tyle że à rebours.

Pod względem technicznym i funkcjonalnym „wyspa na śrubę”, jak ją określił w oryginale Verne, jest tworem idealnym, natomiast społecznie jest podzielona – niby celowo, by każdy miał zapewnioną sferę komfortu, faktycznie jednak z konieczności, bowiem unoszący się na falach oceanu raj dla bogaczy jak w soczewce skupia problemy świata pozostawionego na lądzie. Oddzielne instytucje mają katolicy i protestanci, a rywalizujące ze sobą rody tylko czekają na okazję, by przejąć przywództwo. W takiej sytuacji wystarczy iskra, by doszło do katastrofy.

Jak większość późnych powieści Verne'a, także i ta nie należy do jego szczytowych osiągnięć pisarskich. Czytelnik łatwo dostrzeże w niej schema-



tyzm fabularny oraz nadmierną prostotę w portretowaniu postaci. Nużyć mogą dłuższy opisów, z których, jak się zdaje, część służyła autorowi do wypełnienia objętości przewidzianej dla tytułów dwutomowych. Musimy jednak wziąć pod uwagę okoliczności, w jakich powstawał ten utwór. Z powodu reumatyzmu i pogarszającego się wzroku mistrz z Amiens miał coraz większe trudności z pisaniem. Zdawał sobie sprawę, że jego stan zdrowia będzie się już tylko pogarszał i starał się tworzyć na zapas, by miał co dostarczać wydawcy, gdy siły go już zupełnie opuszczą.

Tradycyjnie powieść o samobieżnej wyspie ukazywała się najpierw w odcinkach na łamach „Magasin d'Éducation et Récréation” (od stycznia do grudnia 1895 r.). W formie książkowej wyszła w tym samym roku – w maju (pierwszy tom) i listopadzie (drugi tom). Opatrzona została rycinami Léona Benetta, które znalazły się też w okazałym, wydawanym zawsze przed świętami Bożego Narodzenia woluminie w ozdobnych okładkach. Towarzyszyły one także polskiemu przekładowi, autorstwa Michaliny Daniszewskiej, który jeszcze w tym samym 1895 r. publikowały w odcinkach „Wieczory Rodzinne”. Dwa lata później tłumaczenie to trafiło do rąk czytelników w formie książki nakładem Gebethnera i Wolffa. Później na prawie sto dwadzieścia lat „Pływająca wyspa” zniknęła z naszych półek księgarskich. Powróciła w 2016 r. dzięki inicjatywie spółki Hachette Polska, w jej eleganckiej serii „Niezwykłe Podróże Juliusza Verne'a” i z większością ilustracji Benetta. Niestety oficyna rodem z Francji poskapiała na nowy przekład i sięgnęła po ów z 1897 r., nieco go tylko odświeżając. My nie idziemy na skróty i oferujemy pierwsze współczesne tłumaczenie tego utworu, pełne i opatrzone wnikliwymi przypisami.

dr Krzysztof Czubaszek  
prezes Polskiego Towarzystwa Juliusza Verne'a



# CZEŚĆ PIERWSZA



## Rozdział I

### Koncertujący Kwartet

**P**odróż, która źle się zaczyna, rzadko kiedy dobrze się kończy. Niemniej jednak, czy czterech instrumentalistów, których instrumenty znalazły się na ziemi, zgodziłoby się z taką opinią? W istocie, powóz, do którego wsiadli na ostatniej stacji kolei żelaznej, właśnie niespodziewanie uderzył w nasyp.

– Czy ktoś jest ranny? – zapytał pierwszy, który zwinnie podniósł się z ziemi.

– Mam jakieś zadrapania! – odpowiedział drugi, wycierając policzek pocięty odłamkami szkła.

– U mnie zadraśnięcia! – odpowiedział trzeci, z którego łydki pociekło kilka kropli krwi.

W sumie nikomu nie stało się nic poważnego.

– A moja wiolonczela...?! – wykrzyknął czwarty. – Oby nic się nie stało z moją wiolonczelą!

Na szczęście futerały były nietknięte. Ani wiolonczela, ani dwoje skrzypiec, ani altówka nie ucierpiały z powodu uderzenia; wystarczyło je ponownie nastroić. Czy nie było prawdą, że instrumenty były dobrej jakości?

– Przeklęta kolej żelazna, która w połowie drogi postawiła nas w tak fatalnym położeniu! – odezwał się pierwszy.

– Przeklęty powóz, który wywrócił się pośrodku niezamieszkałego pustkowia! – odparł drugi.

– I to właśnie w chwili, gdy zapada noc! – dodał trzeci.

– Na szczęście nasz koncert zapowiedziano dopiero na pojutrze! – zauważył czwarty.

Po chwili artyści zaczęli żartować ze swej niefortunnej przygody, nie szczędząc sobie różnych zabawnych i ciętych odpowiedzi.

Jeden z nich, zgodnie ze swym starym zwyczajem, tworzył gry słowne z wykorzystaniem terminologii muzycznej.

– Nasz powóz *skasowany*<sup>1</sup>!

– Pinchinat! – zawołał jeden z jego towarzyszy.

– Moim zdaniem – ciągnął Pinchinat – aż zanadto w tym wszystkim *przygodnych znaków chromatycznych*<sup>2</sup>!

– Czy w końcu zamilknieysz?

– Może *transponujemy nasze części*<sup>3</sup> do innego powozu! – ośmielił się dodać Pinchinat.

Tak! Trochę nazbyt dużo tych różnych wydarzeń, o czym czytelnik wkrótce będzie mógł się przekonać.

Rozmawiali ze sobą po francusku, choć równie dobrze mogliby rozmawiać po angielsku, dzięki bowiem licznym peregrynacjom po krajach anglosaskich kwartet posługiwał się językiem Waltera Scotta<sup>4</sup> i Coopera<sup>5</sup> jak swoim własnym. Również w tym samym języku porozumiewali się z woźnicą pojazdu.

Odważny ów człowiek ucierpiał najbardziej, został bowiem wyrzucony z kozła, gdy pękła przednia oś powozu. W każdym razie jego obrażenia ograniczyły się do różnych urazów nie tyle poważnych, ile bolesnych. Nie był jednak w stanie chodzić z powodu skręconej kostki. W związku z tym należało znaleźć inny środek transportu do kolejnej miejscowości.

To prawdziwy cud, że wypadek nie skończył się niczyją śmiercią. Droga wiała się przez górzystą okolicę, wiodąc skrajem głębo-

---

<sup>1</sup> *Kasownik* – znak chromatyczny przygodny, element notacji muzycznej anulujący działanie innych znaków chromatycznych.

<sup>2</sup> *Znak chromatyczny przygodny* – znak notacji muzycznej określający alterację stopni podstawowych skali diatonicznej, umieszczany bezpośrednio przed określoną nutą i odnoszący się do wszystkich nut danej wysokości występujących w tym takcie po znaku.

<sup>3</sup> *Transpozycja* – przeniesienie utworu muzycznego lub jego części o ustalony interwał w górę lub w dół, co odpowiada zmianie tonacji utworu.

<sup>4</sup> *Walter Scott*, sir (1771-1832) – szkocki i angielski poeta i powieściopisarz; w swej twórczości ożywił baśniowo-rycerską przeszłość Szkocji.

<sup>5</sup> *James Fenimore Cooper* (1789-1851) – amerykański powieściopisarz, znany głównie jako autor eposu *Pięćoksiąg przygód Sokolego Oka*.

kich przepaści, w wielu miejscach granicząc z rwącymi potokami, poprzecinana trudnymi do pokonania brodami. Gdyby przednia oś złamała się kilka kroków dalej, powóz niechybnie potoczyłby się po skałach w dół tych przepaści i być może nikt nie przeżyłby katastrofy.

Jakkolwiek by było, pojazd już nie nadawał się do użytku. Jeden z dwóch koni, który dostał w łeb ostrym kamieniem, charczał, leżąc na ziemi. Drugi miał dość poważny uraz biodra. Zatem w tej chwili nie istniał ani powóz, ani zaprzęg.

W sumie zły los wcale nie oszczędzał tych czterech artystów na terytorium Dolnej Kalifornii<sup>1</sup>. Dwa wypadki w ciągu dwudziestu czterech godzin... do tego trzeba być filozofem...

W tym okresie San Francisco<sup>2</sup>, które było stolicą stanu, miało bezpośrednie połączenie kolejowe z San Diego<sup>3</sup>, leżącym niemal przy granicy dawnej prowincji kalifornijskiej. To do tego właśnie dużego miasta, w którym nazajutrz miał się odbyć od dawna zapowiadany i wielce oczekiwany koncert, zmierzali czterej podróżni. Pociąg, który wyruszył dzień wcześniej z San Francisco, był jakieś pięćdziesiąt mil<sup>4</sup> od San Diego, kiedy pojawiła się pierwsza przeszkoda.

Tak, przeszkoda! Najweselszy członek zespołu określił ją mianem *synkopy*<sup>5</sup>, lecz osobie bieglej w solfeżu<sup>6</sup> można wybaczyć użycie takiego wyrażenia.

Pociąg musiał się zatrzymać na stacji w Paschal, ponieważ ulewny deszcz zniszczył tory na długości około trzech do czterech mil. Podjęcie dalszej podróży koleją żelazną ze stacji położonej dwie mile dalej nie było możliwe, ponieważ wypadek miał miejsce zaledwie przed

---

<sup>1</sup> *Dolna Kalifornia* – stan w północno-zachodnim Meksyku położony na Półwyspie Kalifornijskim.

<sup>2</sup> *San Francisco* – miasto w zachodniej części Stanów Zjednoczonych w Kalifornii, port nad Oceanem Spokojnym.

<sup>3</sup> *San Diego* – drugie co do wielkości miasto w stanie Kalifornia, ósme w Stanach Zjednoczonych, położone nad Pacyfikiem.

<sup>4</sup> *Mila* – tu: anglosaska mila lądowa, równa 1609 m.

<sup>5</sup> *Synkopa* – rodzaj zaburzenia metro-rytmicznego w toku utworu, wykorzystywany jako środek stylistyczny.

<sup>6</sup> *Solfeż* – nauka czytania nut głosem z zastosowaniem solmizacji, bez pomocy instrumentu.

kilkoma godzinami i nie został jeszcze zorganizowany przejazd między oboma stacjami.

Trzeba było dokonać wyboru: albo poczekać, aż ruch kolejowy zostanie przywrócony, albo w najbliższej miejscowości wynająć jakikolwiek pojazd do San Diego.

Członkowie kwartetu wybrali to drugie rozwiązanie. W sąsiedniej miejscowości znaleźli jakieś stare, mocno zardzewiałe lando<sup>1</sup>, wewnątrz prawie zjedzone przez mole i niezbyt wygodne. Ustalili cenę z właścicielem, skusili woźnicę obietnicą sutego napiwku i odjechali z instrumentami, zostawiwszy bagaże. Ruszyli około drugiej po południu i aż do siódmej wieczorem podróż upływała bez większych trudności i zmęczenia. Lecz oto pojawiła się kolejna *synkopa*: powóz się wywrócił, i to tak niefortunnie, że teraz nie było żadnej możliwości poruszania się tym landem oraz kontynuowania dalszej jazdy.

Tymczasem kwartet znajdował się dobre dwadzieścia mil od San Diego!

Dlaczego jednak czterech muzyków, z pochodzenia Francuzów, co więcej – urodzonych w Paryżu, zapuściło się w te niesamowite, mało znane rejony Dolnej Kalifornii?

Dlaczego? Wytłumaczmy to pokrótce i nakreślmy portrety tych czterech wirtuozów, których przypadek, w niepojęty sposób przydzielający ludziom role, uczynił bohaterami tej niezwyklej historii.

W owym roku – a było to w przybliżeniu trzydzieści lat temu – Stany Zjednoczone Ameryki podwoiły liczbę gwiazd na swej federalnej fladze. Po przyłączeniu terenów *Dominium*<sup>2</sup> i Kanady sięga-

---

<sup>1</sup> *Lando* – otwarty, kilkusobowy, czterokołowy pojazd konny z dwiema rozkładanymi budami (przednią i tylną) i dwoma jednakowymi siedzeniami naprzeciw siebie; początkowo pojazd reprezentacyjny, niski, obszerny, z kozłem dla obsługi; w pierwszej połowie XIX wieku przekształcony w pojazd głęboki, wysoki, zawieszony na resorach w kształcie litery C, później eliptycznych; w drugiej połowie XIX wieku land używano głównie jako eleganckich pojazdów miejskich; były one płytkie, w kształcie łódki, wysoko zawieszone, z tylną ławką dla dwóch lokajów; w XIX wieku konstrukcja szorstkowa umożliwiła obniżenie pudła i zmianę kształtu na kanciastą lub wyokrągloną; mniejsze, dwuosobowe landa nazywano landoletami.

<sup>2</sup> *Dominium* – Dominium Kanady, właściwie Prowincja Kanady, utworzona w 1840 roku z połączenia Górnej i Dolnej Kanady.

jących Morza Arktycznego<sup>1</sup> prowincje meksykańskie, gwatemalskie, honduraskie, nikaraguańskie i kostarykańskie, aż po Kanał Panamski<sup>2</sup>, przeżywały okres pełnego rozkwitu swej przemysłowo-handlowej potęgi. W tym samym czasie w owych jankeskich<sup>3</sup> najeźdźcach rozwinęło się zamiłowanie do sztuki; choć ich dorobek ograniczał się do niewielkiej liczby dzieł, a ich narodowy geniusz nadal przejawiał się w malarstwie, rzeźbie i muzyce nieco buntowniczą postawą, to przynajmniej powszechne stało się wśród nich upodobanie do pięknych dzieł sztuki. Kupując za cenę złota obrazy dawnych i współczesnych mistrzów w celu stworzenia prywatnych lub publicznych galerii, płacąc bająnskie sumy cenionym literatom lub dramaturgom oraz najbardziej utalentowanym instrumentalistom, zaszczytali w sobie poczucie piękna i szlachetności, których tak długo im brakowało.

Jeśli chodzi o muzykę, melomani zamieszkujący nowy kontynent lubowali się w słuchaniu przede wszystkim Meyerbeera<sup>4</sup>, Halévy'ego<sup>5</sup>, Gounoda<sup>6</sup>, Berlioza<sup>7</sup>, Wagnera, Verdiego, Massé'a<sup>8</sup>, Saint-

---

<sup>1</sup> *Morze Arktyczne* (Ocean Lodowaty, Morze Lodowate) – najmniejszy ocean; rozciąga się wokół bieguna północnego, między Ameryką Północną a Eurazją.

<sup>2</sup> *Kanał Panamski* – droga morska łącząca Ocean Spokojny z Oceanem Atlantyckim, w Panamie, na Przesmyku Panamskim; ukończony w 1914 roku.

<sup>3</sup> *Jankes* (ang. Yankee) – określenie Amerykanina, o różnym znaczeniu; pierwotne (i nadal w USA) dotyczy mieszkańca Nowej Anglii, potomka kolonistów angielskich, od czasów wojny secesyjnej południowcy mówili tak na mieszkańców stanów północnych; dla ludzi spoza USA Jankes to każdy Amerykanin.

<sup>4</sup> Giacomo *Meyerbeer* (1791-1864) – niemiecki kompozytor operowy, przedstawiciel tzw. opery heroicznej; działał głównie w Paryżu; najważniejsze dzieła: *Robert Diabeł*, *Hugenoci*, *Prorok*, *Afrykanka*.

<sup>5</sup> Ludovic *Halévy* (1834-1908) – francuski pisarz i librecista, współpracował głównie z Offenbachem, autor libretta do jego operetki *Orfeusz w piekle*, później pisał wspólnie z Meilhacem, stworzyli razem libretta do wielu oper i operetek.

<sup>6</sup> Charles-François *Gounod* (1818-1893) – francuski kompozytor, twórca oper lirycznych; komponował także muzykę religijną (msze, oratoria).

<sup>7</sup> Louis Hector *Berlioz* (1803-1869) – francuski kompozytor romantyczny, twórca głównie symfonii (jak *Symfonia fantastyczna*) i oper (*Potępienie Fausta*), sukces odniósł dopiero pod koniec życia, również wpływy krytyk muzyczny.

<sup>8</sup> Richard *Wagner* (1813-1883) – niemiecki kompozytor, dyrygent, poeta i teoretyk sztuki; autor wielu oper, do których sam układał libretta oparte na starogermańskich legendach; Giuseppe *Verdi* (1813-1901) – włoski kompozytor romantyczny; tworzył głównie opery, które zyskały ogromną popularność, jak *Rigoletto*, *Aida*, *Traviata*,



-Saëns<sup>1</sup>, Reya<sup>2</sup>, Masseneta<sup>3</sup>, Delibesa<sup>4</sup>, słynnych kompozytorów z drugiej połowy XIX wieku. Z biegiem czasu zagustowali w bardziej przejmujących dziełach Mozarta<sup>5</sup>, Haydna<sup>6</sup>, Beethovena<sup>7</sup>, sięgając do źródeł tej wzniosłej sztuki, która święciła triumfy na przestrzeni XVIII wieku. Po operach przyszedł czas na dramaty liryczne, a po dramatach lirycznych – na symfonie, sonaty i suitę orkiestrowe. W okresie, o którym mowa, szczególną popularnością w różnych stanach Unii<sup>8</sup> cieszyły się sonaty. Chętnie płacono każdą cenę od nuty, dwadzieścia dolarów za półnutę, dziesięć dolarów za ćwierćnutę, pięć dolarów za ósemkę.

To właśnie wówczas, znając owo ekstremalne rozmiłowanie się w muzyce, czterech cenionych instrumentalistów wpadło na pomysł, by pojechać do Stanów Zjednoczonych Ameryki w poszukiwaniu sukcesu i fortuny. Czterech dobrych towarzyszy, absolwentów Konserwatorium<sup>9</sup>, bardzo znanych w Paryżu, wielce cenionych przez słu-

---

także polityk, senator; Victor *Massé* (1822-1884) – francuski kompozytor; twórca prawie 20 oper, oper komicznych i operetek, z których najbardziej znane to *Paweł i Wirginia*, *Galatea* oraz *Noc poślubna Jeannette*; obecnie niemal zupełnie zapomniani.

<sup>1</sup> Charles Camille *Saint-Saëns* (1835-1921) – francuski kompozytor, wirtuoz fortepianu i organów, dyrygent.

<sup>2</sup> Louis Étienne Ernest *Rey* (1823-1909) – u J. Verne’a: *Reyer*; francuski kompozytor, twórca głównie oper, z których największą sławę zdobył *Sigurd*.

<sup>3</sup> Jules Émile Frédéric *Massenet* (1842-1912) – francuski kompozytor i pianista, najważniejsze opery: *Herodiada*, *Manon*, *Werther*, *Thaïs*.

<sup>4</sup> Clément Philibert Léo *Delibes* (1836-1891) – francuski kompozytor baletów, oper oraz innych dzieł scenicznych.

<sup>5</sup> Wolfgang Amadeusz *Mozart* (1756-1791) – austriacki kompozytor, jeden z najwybitniejszych kompozytorów w dziejach muzyki, twórca oper (m.in. *Don Giovanni*, *Czarodziejski flet*), utworów orkiestrowych (symfonii, koncertów).

<sup>6</sup> Joseph *Haydn* (1732-1809) – austriacki kompozytor, jeden z tzw. klasyków wiedeńskich.

<sup>7</sup> Ludwig van *Beethoven* (1770-1827) – niemiecki kompozytor i pianista działający w Wiedniu, prekursor romantyzmu, jeden z największych geniuszy w dziejach muzyki, twórca dziewięciu symfonii, innych utworów orkiestrowych i kameralnych, wytyczył kierunki rozwoju muzyki.

<sup>8</sup> *Unia* – nazwa stanów pozostałych w składzie USA po wybuchu wojny secesyjnej (1861-1865), Północ; po tej wojnie inne określenie całych Stanów Zjednoczonych.

<sup>9</sup> *Konserwatorium Paryskie* (fr. *Conservatoire de Paris*) – francuska uczelnia muzyczna i baletowa ufundowana w 1795 roku.

chaczy tak zwanej „muzyki kameralnej”<sup>1</sup>, do tej pory mało rozpo-  
wszechnionej w Ameryce Północnej. Z jakąż niebywałą doskonałością,  
z jakim wspaniałym zgraniem, jakim głębokim wycuciem interpre-  
towali utwory Mozarta, Beethovena, Mendelssohna<sup>2</sup>, Haydna, Cho-  
pina, napisane na cztery instrumenty smyczkowe – dwoje skrzypiec,  
altówkę oraz wiolonczelę! Wprawdzie nie było to nic głośnego, nic,  
co wskazywałoby na wprawę, lecz jakże nienaganne wykonanie, jakaż  
niezrównana wirtuozeria! Sukces tego kwartetu wynikał także z te-  
go, że w owym czasie publiczność zaczynała mieć dość ogromnych  
orkiestr harmoniczných i symfoniczných. Ludzie pragnęli, by mu-  
zyka była jedynie artystycznym połączeniem drżenia fal dźwiękowych,  
ot co! Nie było potrzeby spuszczać z łańcucha owych fal i zamie-  
niać w ogłuszające burze.

Krótko mówiąc, czterech instrumentalistów postanowiło zapoznać  
Amerykanów ze słodkimi i niewysłowionymi rozkoszami muzyki  
kameralnej. Wyruszyli wspólnie do Nowego Świata<sup>3</sup>, a przez ostat-  
nie dwa lata jankescy miłośnicy muzyki nie szczędzili im ani okla-  
sków, ani dolarów. Ich muzyczne poranki i wieczorki cieszyły się  
niebywałą popularnością. Koncertujący Kwartet – tak ich bowiem  
nazywano – ledwo nadążał z odpowiadaniem na zaproszenia moż-  
nych. Przyjęcia, spotkania, rauty, *five o'clock*<sup>4</sup>, nawet przyjęcia ogro-  
dowe, żadne wydarzenie, które zasługiwało na odnotowanie przez  
opinię publiczną, nie mogło się odbyć bez obecności kwartetu smycz-  
kowego. Rozchwytywany zespół zarobił bajonńskie sumy, które – gdy-

---

<sup>1</sup> *Muzyka kameralna* (muzyka komnatowa, *musica da camera*) – w dawnym rozu-  
mieniu wszelka muzyka koncertowa (wokalna i instrumentalna), w przeciwstawi-  
eniu do muzyki kościelnej i operowej; w dzisiejszym rozumieniu obejmuje kompo-  
zycje pisane na niewielkie zespoły (2-9 instrumentów – odpowiednio: duet, trio,  
kwartet, kwintet, sektet, septet, oktet, nonet), które w zależności od składu otrzy-  
mują dodatkowe nazwy, np. trio fortepianowe, kwartet smyczkowy itp.

<sup>2</sup> Felix *Mendelssohn*-Bartholdy (1809-1847) – niemiecki kompozytor, jeden z głów-  
nych przedstawicieli romantyzmu.

<sup>3</sup> *Nowy Świat* – tak nazywano odkrytą przez Kolumba w 1492 roku Amerykę, w odróż-  
nieniu od Starego Świata, tj. Europy, Azji i Afryki.

<sup>4</sup> *Five o'clock* (ang.) – dosłownie „godzina piąta”; nazwa południowego przyjęcia  
towarzyskiego o swobodniejszym charakterze niż wieczorne.

by je zgromadzić w skarbcach nowojorskiego banku – stanowiłyby pokaźny kapitał. Dlaczego tak się nie działo? Nasi zamerykanizowani paryżanie szastali bowiem pieniędzmi! Owi księżęta smyczka, owi królowie czterech strun w ogóle nie myśleli o oszczędzaniu! Upodobali sobie tę pełną przygód egzystencję, pewni, że zawsze i wszędzie będą mogli liczyć na miłe przyjęcie i dobry zysk, przemieszczając się z Nowego Jorku do San Francisco, z Quebecu do Nowego Orleanu, z Nowej Szkocji<sup>1</sup> do Teksasu, wiodąc życie na wzór cyganerii – owej bohemy<sup>2</sup> z lat młodości, w istocie najstarszej, najbardziej urzekającej, najbardziej godnej pozazdroszczenia, najukochańszej prowincji naszej starej Francji!

Nadeszła najwyższa – przynajmniej w naszym mniemaniu – pora, by zaprezentować każdego z nich z osobna i przedstawić ich z imienia tym z naszych czytelników, którzy nigdy nie mieli i nie będą mieli przyjemności ich usłyszeć.

Yvernès – pierwsze skrzypce – trzydzieści dwa lata, więcej niż średniego wzrostu, szczupła budowa ciała, blond włosy z kręconymi końcówkami, twarz bez zarostu, duże czarne oczy, długie dłonie, stworzone do namiętnego dotykania strun guarneriusa<sup>3</sup>, elegant, z lubością otulający się ciemnym płaszczem, miłośnik jedwabnych cylindrów, mający w sobie coś z pozera, z pewnością najbardziej beztroski członek zespołu, najmniej zaprzątający sobie głowę kwestiami finansowymi, nadzwyczajny artysta, entuzjastyczny wielbiciel rzeczy pięknych, wielce utalentowany wirtuoz, któremu wrócono świetlaną przyszłość.

Frascolin, drugie skrzypce, trzydziestoletni, niewysoki mężczyzna ze skłonnością do otyłości, która doprowadzała go do wściekłości,

---

<sup>1</sup> *Nowa Szkocja* – półwysep w południowo-wschodniej części Kanady, główna część prowincji o tejże nazwie, pierwotnie francuska kolonia Akadia, od roku 1848 samodzielne dominium, w 1867 przystąpiło do Dominium Kanady.

<sup>2</sup> *Bohema* (cyganeria artystyczna) – nazwa środowiska artystycznego, którego członkowie spędzają czas na wspólnych zabawach i tworzeniu, demonstrując pogardę dla konwenansów, norm społecznych i materializmu.

<sup>3</sup> *Guarnerius* – skrzypce wykonane przez Guarnerich, rodzinę włoskich lutników, działającą w XVII i XVIII wieku w Cremonie, Wenecji i Mantui.

brązowe włosy, brązowa broda, duża głowa, czarne oczy, długi nos z drgającymi nozdrzami, zaczerwieniony w miejscu, gdzie opierały się złote oprawki lorgnonu<sup>1</sup>, bez którego nie mógł się obejść, dobry chłopak, usłużny, pomocny, chętnie odciążający towarzyszy, pilnujący ksiąg rachunkowych kwartetu, prawiący kazania o ekonomii, których nikt nie słuchał, niepałający zazdrością o sukces swojego towarzysza Yvernèsa, niemający ambicji solowych występów skrzypcowych, skądinąd człowiek niebywale waleczny, teraz w obszernym prochowcu narzuconym na strój podróżny.

Pinchinat – altówka – przez wszystkich tytułowany „Jego Wysockością”, dwudziestosiedmioletni, najmłodszy i najweselszy członek zespołu, jeden z tych niereformowalnych typów, którzy na całe życie pozostają niepoprawnymi chłopcami; smukły kształt głowy, natchnione, zawsze czujne spojrzenie, rudawe włosy, spiczaste wąsy, język trzepoczący między białymi, ostrymi zębami, niepoprawny miłośnik kalamburów i żartów słownych, gotowy zarówno do ataku, jak i do riposty, o mózgu wiecznie zapalonym do działania, co sam tłumaczył koniecznością odczytywania różnych kluczy  $C^2$ , jakich wymagał jego instrument – „prawdziwy pęk kluczy domowej gospodyni”, jak sam zwykł mawiać, zawsze w dobrym nastroju, lubujący się w żartach i niezważający na przykrości, które owe dowcipy mogłyby sprawić jego towarzyszom, z tego też powodu wielokrotnie upominany, pouczany, „trzymaany krótko” przez kierownika Koncertującego Kwartetu.

Kwartet miał bowiem kierownika, którym był wiolonczelista Sébastien Zorn. Zorn był kierownikiem zarówno z racji talentu, jak i wieku; pięćdziesięciopięciolatek, niski, tłuściutki, z bujną czupryną blond włosów zebranych w loczki na skroniach, najeżonymi wąsami łączącymi się z gęstymi, ostro zakończonymi faworytami<sup>3</sup>, z cerą w odcieniu wypalanej cegły, oczami połyskującymi przez soczewki okularów,

---

<sup>1</sup> *Lorgnon* – przyrząd optyczny służący zmniejszaniu skutków wad wzroku lub obserwacji odległych obiektów, posiadał rączkę służącą do przytrzymywania przyrządu przy twarzy.

<sup>2</sup> *Klucz C* – jeden z trzech rodzajów kluczy notacji muzycznej.

<sup>3</sup> *Faworyty* (bokobrody) – zarost pozostawiony na policzkach.

których moc podwajał lorgnonem, odczytując nuty, z pulchnymi dłońmi, przy czym prawą, przyzwyczajoną do posuwistych ruchów smyczka, zdobiły duże pierścienie na serdecznym i małym palcu.

Ten krótki szkic wydaje się dostatecznie odmalowywać człowieka i artystę. Jednak trzymanie pudła rezonansowego między kolanami przez czterdzieści lat odciska trwały ślad na człowieku. Ów ślad jest odczuwalny przez całe życie i wpływa na charakter. Większość wiolonczelistów to gniewne gaduły, mówiące władczy tonem, potoczyście, choć ich słowom nie brakuje sensu. Taki był właśnie Sébastien Zorn, na którego Yvernès, Frascolin i Pinchinat bardzo chętnie scedowali zadanie kierowania wspólnymi muzycznymi tournée. Dali mu wolną rękę, miał bowiem smykałkę do takich spraw. Przyzwyczajeni do pokazów władczości w jego wykonaniu, śmiali się z niego, gdy „odbiegały od normy”, co było godne ubolewania u wykonawcy, jak zauważył lekceważąco Pinchinat. Układanie repertuaru, wybór tras, kontakty z impresariami, to właśnie jemu przypadały w udziale te wielorakie zadania, dzięki którym mógł dać upust swemu gwałtownemu temperamentowi w wielu okolicznościach. Jedyne obszary, w których się nie udzielał, dotyczyły kwestii dochodów, zarządzania wspólnymi funduszami, nad którymi pieczę sprawował drugi skrzypek i pierwszy księgowy, skrupulatny i drobiazgowy Frascolin.

Kwartet został zaprezentowany tak, jakby stał przed estradą. Znamy już jego członków, ludzi nie tyle oryginalnych, ile wyrazistych, którzy go tworzyli. Teraz niech czytelnik pozwoli, by wydarzenia tej niezwyklej opowieści same się potoczyły, wówczas zobaczy, jaką rolę odegrał każdy z tych czterech paryżan, którzy po zebraniu tak wielu oklasków w różnych stanach konfederacji amerykańskiej przenieśli się... Lecz nie uprzedzajmy faktów, „nie przyspieszajmy tempa”, jak by powiedział Jego Wysokość, i uzbrójmy się w cierpliwość.

Zatem około ósmej wieczorem czterech paryżan znalazło się na opustoszałej drodze gdzieś w Dolnej Kalifornii, w pobliżu pozostałości „przewróconego powozu”<sup>1</sup>, jak powiedział Pinchinat, nawią-

---

<sup>1</sup> *Przewrócone powozy* (fr. *Les voitures versées*) – opera komiczna w dwóch aktach autorstwa Boieldieu z 1808 roku.

zując do muzyki Boieldieu<sup>1</sup>. Choć jemu, Frascolinowi i Yvernèsowi udzieliła się atmosfera przygody, choć stała się nawet pretekstem do kilku muzycznych żartów, to dla kierownika kwartetu stała się okazją, aby dać się ponieść napadowi gniewu. Cóż chcecie? Wiolonczelista był z natury człowiekiem o gorącym sercu i – jak to mówią – nie dawał sobie w kaszę dmuchać. Nie bez powodu Yvernès twierdził, że wywodzi się z rodu Ajaksa<sup>2</sup> i Achillesa<sup>3</sup>, dwóch wybitnych starożytnych sangwiników<sup>4</sup>.

Nie zapominajmy, że o ile Sébastien Zorn był cholerykiem<sup>5</sup>, Yvernès – flegmatykiem<sup>6</sup>, Frascolin – melancholikiem<sup>7</sup>, a Pinchinat wykazywał nadmierną jowialność, o tyle wszyscy razem, dobrzy towarzysze, darzyli się braterską przyjaźnią. Czuli się połączeni więzią, której nie był w stanie rozerwać żaden spór dotyczący interesów czy miłości własnej, połączeni wspólnotą upodobań pochodzących z tego samego źródła. Ich serca, niczym porządnie wykonane instrumenty, zawsze brzmiały zgodnie.

Kiedy Sébastien Zorn złorzeczył, obmacując futerał swojej wiolonczeli, aby się upewnić, czy się nie uszkodziła i jest cała, Frascolin podszedł do woźnicy i zapytał:

---

<sup>1</sup> François-Adrien *Boieldieu* (1775-1834) – francuski kompozytor, autor ponad 30 oper odznaczających się melodyjnością i cieszących się sławą także poza granicami Francji.

<sup>2</sup> *Ajaks* – w mitologii greckiej syn Ojleusa, uczestnik wojny trojańskiej, najszybszy po Achillesie; zabity przez Posejdona, gdy bluźnił bogom, dopłynąwszy jako rozbitek do brzegu.

<sup>3</sup> *Achilles* – heros; najdzielniejszy z Greków walczących pod Troją, syn Peleusa i Tetydy, zabójca Hektora; jako niemowlę został obmyty przez Tetydę w wodach Styksu, co uczyniło go odpornym na ciosy; przez nieuwagę matki wrażliwa pozostała jednak pięta (tzw. pięta Achillesa); zginął trafiony w nią strzałą Parysa; bohater *Iliady* Homera.

<sup>4</sup> *Sangwinik* – jeden z czterech typów temperamentu (obok choleryka, melancholika i flegmatyka) wyróżnionych przez Hipokratesa, człowiek o żywym i zmiennym usposobieniu.

<sup>5</sup> *Choleryk* – jeden z czterech typów temperamentu wyróżnionych przez Hipokratesa; człowiek wybuchowy, o silnych i szybko powstających reakcjach uczuciowych.

<sup>6</sup> *Flegmatyk* – jeden z czterech typów temperamentu wyróżnionych przez Hipokratesa; człowiek nieulegający gwałtownym emocjom, powolny w działaniu.

<sup>7</sup> *Melancholik* – jeden z czterech typów temperamentu wyróżnionych przez Hipokratesa człowiek o usposobieniu łagodnym, biernym, którego cechuje brak impulsywności.

– Cóż więc, mój przyjacielu, powiedzcie, co teraz zrobimy, jeśli można wiedzieć?

– To, co się zwykle robi, kiedy nie ma się już ani koni, ani woźu... Czekamy...

– Czeakać na inny pojazd! – zawołał Pinchinat. – A jeśli nie nadjedzie...?

– To sami jakiegoś poszukamy – odparł Frascolin, który zawsze myślał praktycznie.

– Niby gdzie? – ryknął Sébastien Zorn, który gorączkowo mიაł się na drodze.

– Tam, gdzie je mają! – odparł woźnica.

– Ejże! Mówcie, woźnico – powiedział wiolonczelista głosem sięgającym coraz to wyższych rejestrów – to ma być odpowiedź?! Jak to...?! Ten niedołęga najpierw nas wywraca, łamie swój pojazd, kaleczy konie w zaprzęgu, a potem śmie mówić: „Radźcie sobie sami, na ile zdołacie!”.

W napadzie wrodzonego gadulstwa Sébastien Zorn zaczął recytować niekończącą się litanię co najmniej zbędnych zastrzeżeń, ale Frascolin przerwał mu tymi słowami:

– Pozwól, że to załatwię, mój stary Zorn.

Potem, zwracając się ponownie do woźnicy, zapytał:

– Gdzie jesteście, przyjacielu?

– Jakieś pięć mil od Freschal.

– Jakaś stacja kolei żelaznej...?

– Nie... tylko nadbrzeźna wioska.

– I znajdziemy tam jakiś powóz...?

– Powóz... nie... może jakiś wóz...

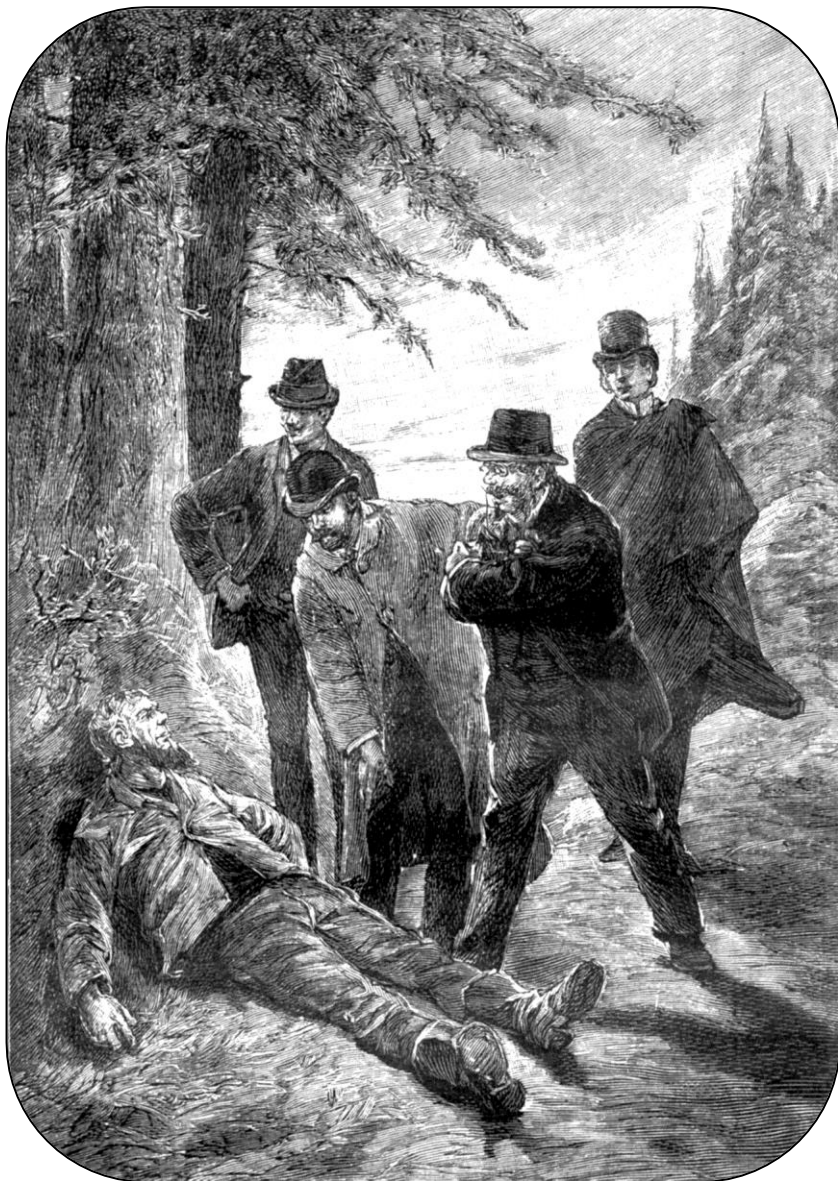
– Wóz zaprzężony w woły, jak w czasach królów z dynastii Merowingów<sup>1</sup>! – wykrzyknął Pinchinat.

– Co to ma za znaczenie! – stwierdził Frascolin.

– Ech! – odezwał się ponownie Sébastien Zorn. – Zapytaj go lepiej, czy w tej dziurze zwanej Freschal jest jakaś oberża... Mam dosyć biegania po nocy...

---

<sup>1</sup> *Merowingowie* – dynastia królów panująca w państwie frankijskim w latach 481-751, wywodząca się od władcy Franków salickich Merowecha.



– Niby gdzie? – ryknął Sébastien Zorn, który gorączkowo miotał się na drodze.



– Przyjacielu – zapytał Frascolin – czy w Freschal jest jakaś oberża?

– Ano... oberża, w której mieliśmy zmienić konie.

– I aby dotrzeć do owej wioski, wystarczy pójść główną drogą...?

– Cały czas prosto.

– Zatem w drogę! – ogłosił wiolonczelista.

– Okrucieństwem byłoby zostawić tu tego biedaka na pastwę losu – zauważył Pinchinat. – Zobaczmy, przyjacielu, czy nie mogliście... z moją pomocą...

– Niemożliwe! – odpowiedział woźnica. – Zresztą, wołę zostac tutaj... z moim powozem... O świcie zobaczę, co się da zrobić...

– Kiedy dotrzemy do Freschal, spróbujemy przysłać wam pomoc... – rzekł Frascolin.

– Ano... Oberżysta dobrze mnie zna i nie zostawi mnie w kłopotcie...

– Ruszamy? – krzyknął wiolonczelista, który właśnie podniósł futerał z instrumentem.

– Za chwilę – odrzekł Pinchinat. – Najpierw przeniesiemy woźnicę bliżej skarpy drogi...

Rzeczywiście wypadało ściągnąć go z drogi, a ponieważ miał ciężko uszkodzone nogi, Pinchinat i Frascolin dźwignęli go, przenieśli i oparli o korzenie dużego drzewa, którego opadające nisko gałęzie tworzyły zieloną kolebkę.

– Ruszamy? – zawołał po raz trzeci Sébastien Zorn, przymocowawszy futerał na plecach podwójnym skreconym naprędcie rzemieniem.

– Wszystko gotowe – odpowiedział Frascolin, a zwracając się do woźnicy, rzekł: – Zatem, mamy ustalone... oberżysta z Freschal przyśle ci pomoc... Do tego czasu niczego ci nie trzeba, nieprawdaż, przyjacielu?

– Tylko... – odpowiada woźnica – porządnego łyżka dżinu<sup>1</sup>, jeśli coś zostało w waszych manierkach.

---

<sup>1</sup> *Dżin* – wódka gatunkowa o smaku i zapachu jałowcowym.

Manierka Pinchinata była wciąż pełna i Jego Wysokość chętnie ją poświęcił.

– Dzięki temu, mój pocziwcze – powiedział – nie będzie ci zimno tej nocy... w środku!

Po ostatnim napomnieniu wiolonczelisty towarzysze zdecydowali się ruszyć w drogę. Szczęśliwie ich bagaże pozostały w wagonie pociągu i nie przeładowano ich na powóz. Nawet jeśli istniało ryzyko, że dotrą do San Diego z opóźnieniem, nie musieli się trudzić dźwiganiem bagaży aż do wioski Freschal. Futerały skrzypiec, a przede wszystkim futerał wiolonczeli były wystarczająco ciężkie. Prawdą było, że instrumentalista godny tej nazwy nigdy nie rozstaje się ze swoim instrumentem, tak jak żołnierz z bronią albo ślimak ze swą skorupą.



## Rozdział II

### Potęga kakofonicznej sonaty

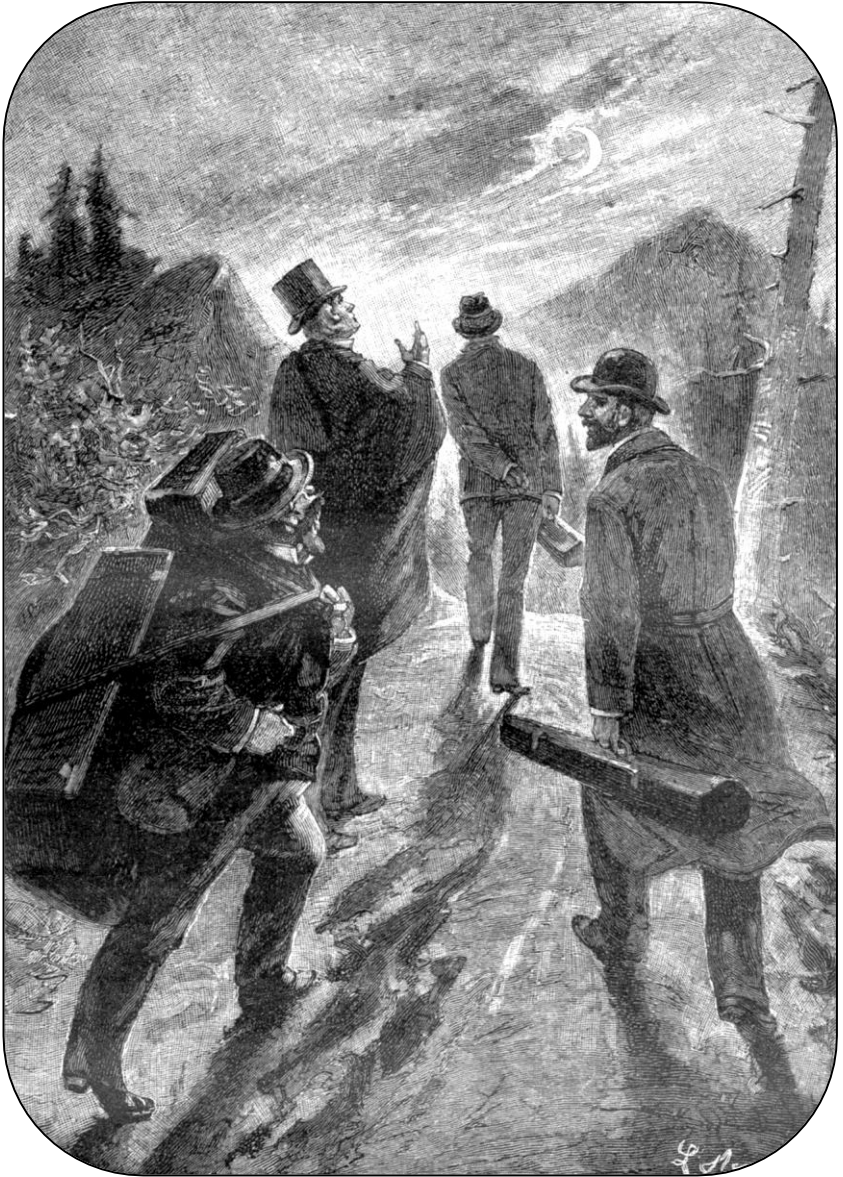
**W**ędrowanie nocą, pieszo, nieznaną drogą, pośród niemal bezludnej krainy, gdzie przestępców można było spotkać częściej niż podróżnych, budziło pewne obawy. W takim położeniu znalazł się kwartet. Francuzi są z natury dzielni, to nie ulega wątpliwości, a ci, o których mowa, byli dzielni na miarę własnych możliwości. Jednak między brawurą a zuchwałością jest pewna granica, której człowiek o rozsądnym umyśle nie powinien przekraczać. Zresztą, gdyby pociąg nie dotarł do równiny zniszczonej ulewnymi deszczami, gdyby powóz nie wyrzucił się pięć mil od Freschal, nasi instrumentalisci nie musieliby zapuszczać się nocą na tę podejrzaną drogę. Miejmy jednak nadzieję, że nie przytrafi im się nic złego.

Okolo ósmej wieczorem, zgodnie ze wskazówkami woźnicy, Sébastien Zorn i jego towarzysze ruszyli w stronę wybrzeża. Skrzypkowie, którzy nieśli skórzane futerały, lekkie i poręczne, nie mieli powodów do narzekania. Dlatego żaden z nich się nie skarżył – ani mędrzec Frascaolin, ani wesołek Pinchinat, ani idealista Yvernès. Lecz wiolonczelista dźwigał futerał z wiolonczelą – rodzaj szafy przytroczonej do pleców! Jak wiemy, był porywczy z natury, nic więc dziwnego, że uznał to za powód do wściekania się. Stąd brały się pomruki niezadowolenia i jęki, które wydobywały się z niego w onomatopeicznej<sup>1</sup> formie: „Ach! och! uff!”.

Tymczasem ciemności stawały się coraz głębsze. Po niebie pływały gęste chmury, ale od czasu do czasu pojawiały się między nimi wąskie szczeliny, przez które wyglądał drwiący księżyc, niemal

---

<sup>1</sup> *Onomatopeja* – dźwiękonaśladownictwo, imitowanie pozajęzykowych efektów akustycznych za pomocą środków językowych, m.in. przez gromadzenie dźwiękonaśladowczych słów i sekwencji głoskowych.



– O cnotliwa Diano, o wysłanniczko spokojnej nocy, o błądy satelity Ziemi, o uwielbione bóstwo uroczego Endymiona! ... – zadeklamował Yvernès.

w pierwszej kwadrze<sup>1</sup>. Naprawdę nie wiadomo dlaczego – choć może dlatego, że był zły i rozdrażniony – blada Febe<sup>2</sup> nie przypadła Sébastienowi Zornowi do gustu. Pokazał jej pięść, wrzeszcząc:

– Cóż ty tam robisz z tym swoim głupim profilem! Nie! Nie ma nic głupszego niż ten kawałek niedojrzałego melona, który przechadza się wysoko po niebie!

– Byłoby lepiej, gdyby księżyc pokazał nam całą twarz – powiedział Frascolin.

– A czemuż to? – zapytał Pinchinat.

– Wówczas widzielibyśmy wszystko lepiej.

– O cnotliwa Dian<sup>3</sup>, o wysłanniczko spokojnej nocy, o błądy satelity Ziemi, o uwielbione bóstwo uroczego Endymiona<sup>4</sup>... – za-deklamował Yvernès.

– Skończyłeś swoją balladę?! – krzyknął wiolonczelista – Kiedy pierwszy skrzypek zaczyna grać na najcieńszej strunie...

– Przyspieszmy kroku, inaczej będziemy spać pod gołym niebem... – rzekł Frascolin.

– A co za tym idzie... nie zdążymy na nasz koncert w San Diego! – zauważył Pinchinat.

– Cóż za pomysł, słowo daję! – wykrzyknął Sébastien Zorn, potrząsając futerałem, który wydał płaczliwy dźwięk.

– Lecz ów pomysł, mój stary towarzyszu, jest twoim pomysłem... – powiedział Pinchinat.

– Moim...?

– Bezsprzecznie! Trzeba było zostać w San Francisco, gdzie mogliśmy wydawać ucztę dla uszu wielu Kalifornijczyków!

– Zapytam jeszcze raz, dlaczego wyjechaliśmy? – rzekł wiolonczelista.

---

<sup>1</sup> *Kwadra* – faza księżyca (lub planety), w której oświetlona jest połowa jego tarczy.

<sup>2</sup> *Febe* (Fojbe, z gr. jaśniejąca) – przydomek Diany, którą w Rzymie czczono także jako boginię Księżyca.

<sup>3</sup> *Diana* – w mitologii rzymskiej bogini lasów, zwierząt, księżyca i płodności; opiekunka kobiet w czasie porodów; utożsamiana z grecką Artemidą.

<sup>4</sup> *Endymion* – w mitologii greckiej piękny pasterz, ukochany Selene, którego Zeus na jej prośbę obdarzył wieczną młodością, urodą i nieprzespanym snem, aby bogini mogła go swobodnie odwiedzać w każdej księżycową noc i całować do woli.

– Ponieważ sam tego chciałeś.

– No cóż, muszę przyznać, że miałem godny pożałowania pomysł, a jeśli...

– Ach! moi przyjaciele! – odezwał się Yvernès, wskazując ręką pewien punkt na niebie, gdzie wąski promień księżycowego światła kreślił białawą obwódkę na brzegach chmury.

– Co się stało, Yvernès...?

– Spójrzcie, czyż ta chmura nie przypomina smoka z rozpostartymi skrzydłami, ogon pawia z setką oczu Argusa<sup>1</sup>!

Było prawdopodobne, że Sébastien Zorn nie był obdarzony ową stukrotną siłą widzenia, którą wyróżniał się strażnik córki Inachosa<sup>2</sup>, ponieważ nie dostrzegł głębokiej koleiny, w którą niefortunnie wpadła jego stopa. W konsekwencji tego upadł na brzuch, z futerałem na plecach, i przypominał jakiegoś wielkiego chrząszcza czołgającego się po powierzchni ziemi.

Instrumentalista wybuchnął gwałtownym gniewem – a miał powody do wściekłości – a potem udzielił reprimendy pierwszemu skrzypkowi, który zachwycał się napowietrzonym potworem.

– To wina Yvernèsa! – stwierdził Sébastien Zorn. – Gdybym nie dał się namówić na oglądanie tego przeklętego smoka...

– To już nie smok, teraz to amfora! Nawet ktoś, kto ma marnie rozwiniętą wyobraźnię, jest w stanie dostrzec ją w rękach Hebe<sup>3</sup>, która rozlewa nektar...

– Strzeżmy się, żeby w tym nektarze nie było zbyt dużo wody – wykrzyknął Pinchinat – a twoja czarująca bogini młodości nie uraczyła nas sporym prysznicem!

To mocno skomplikowałyby sprawy, ale prawdą było, że zbierało się na deszcz. Dlatego roztropność nakazywała przyspieszyć kroku, aby znaleźć schronienie we Freschal.

---

<sup>1</sup> *Argus* (Argos) – w mitologii greckiej olbrzym o stu wiecznie czuwających oczach (stąd tak zwane argusowe oczy).

<sup>2</sup> *Inachos* – w mitologii greckiej bóg i uosobienie rzeki Inachos (Inachus) w Argolidzie, najstarszy król Argos.

<sup>3</sup> *Hebe* – bogini, córka Zeusa i Hery, uosobienie wieku młodzieńczego, szafarka ambrozji i nektaru na biesiadach bogów na Olimpie; jej atrybutem była czara lub dzban.

Podnieśli rozzłoszczonego wiolonczelistę, który stale mrucał coś pod nosem, i pomogli mu stanąć na nogach. Uczynny Frascolin zaproponował, że zajmie się futerałem. Początkowo Sébastien Zorn nie chciał się zgodzić... Rozstać się z własnym instrumentem... wiolonczelą z Gandawy, od Bernardela<sup>1</sup>, to znaczyło rozstać się z połową samego siebie... Musiał jednak ustąpić, a ową cenną połowę zarzucił sobie na plecy pomocny Frascolin, który przekazał swój lekki futerał wspomnianemu już Zornowi.

Ponownie ruszyli w drogę. Przez dwie mile szli dziarskim krokiem. Nie doszło do żadnego incydentu wartego wspomnienia. Ciemność gęstniała coraz bardziej, a nad głowami wisiało widmo deszczu. Spadło kilka kropli, bardzo dużych, niejako na dowód, że pochodzą z wysokich, burzowych chmur. Jednak ujrzana przez Yvernèsa amfora pięknej Hebe nie wylała swej zawartości i nasi czterej nocni wędrowcy mogli żywić nadzieję, że dotrą do Freschal, nie zmoczywszy ubrań.

Niemniej należało zachować niebywałą ostrożność, aby uniknąć upadku na tej ciemnej drodze, która pełna była głębokich podmytych kolein, miejscami ostro zakręcała, obfitowała w wielkie nierówności i prowadziła wzdłuż mrocznych przepaści, skąd dobiegał ryk dudniących potoków. O ile Yvernès z racji swego usposobienia uważał sytuację za istic poetycką, o tyle Frascolinowi wydawała się ona niepokojąca.

Należało się również obawiać pewnych niefortunnych spotkań, które sprawiają, że bezpieczeństwo pasażerów na drogach Dolnej Kalifornii jest dość problematyczne. Jediną bronią kwartetu były smyczki trójga skrzypiec i wiolonczeli, a taka broń mogła się wydawać niewystarczającym orężem w kraju, w którym wynaleziono rewolwery Colta<sup>2</sup>, w owym czasie niebywale udoskonalone. Gdyby

---

<sup>1</sup> Auguste Sebastien Philippe *Bernardel* (1802-1870) – francuski lutnik znany jako „Bernardel Père”.

<sup>2</sup> *Rewolwer Colta* – marka i popularna nazwa ręcznej broni bębenkowej oraz wielu typów broni palnej; nazwa pochodzi od nazwiska wynalazcy i przemysłowca Samuela Colta, konstruktora pierwszego udanego wzoru szybkostrzelnego rewolwery kapizonowego z 1831 roku, który był wielokrotnie usprawniany, powszechnie używany podczas wojny secesyjnej i po niej.

Sébastien Zorn i jego towarzysze byli Amerykanami, byliby wyposażeni w jedną z owych kieszonkowych broni chowanych w specjalnych kaburach przy spodniach. Prawdziwy Janke nie wybrałby się w podróż koleją żelazną z San Francisco do San Diego bez tego pomocnika z sześciokomorowym bębenkiem. Jednak Francuzi nie uznali go za niezbędne wyposażenie. Dodajmy, że nawet o tym nie pomyśleli, i niewykluczone, że przyjdzie im za to słono zapłacić.

Pinchinat maszerował na przedzie, bacznie obserwując przydrożne skarpy. W miejscach, w których skarpa była bardzo wcięta po prawej i po lewej stronie, ryzyko niespodziewanego ataku było mniejsze. Jego Wysokość, obdarzony instynktem żartownisia, nabrał nieodpartej ochoty, by zrobić swoim towarzyszom jakiś niecny kawał i ogarnęło go głupie pragnienie, by ich „wystraszyć”, by – na przykład – stanąć jak wryty i wyszeptać drżącym ze strachu głosem:

„Ej... tam... cóż ja widzę? Szykujemy się do obrony...”.

Lecz kiedy droga zagłębiła się gęsty las, pośród mamutowe drzewa<sup>1</sup>, owe wysokie na sto pięćdziesiąt stóp sekwoje, roślinne giganty porastające Kalifornię, przeszła mu ochota do żartów. Za każdym z tych olbrzymich pni mogło się czaić dziesięciu ludzi... Nagły rozbrzyk, a potem huk... szybki świst kuli... czy zdołają ją zobaczyć... czy zdołają ją usłyszeć...? W takich miejscach sprzyjających nocnym atakom aż się prosiło o zasadzkę. Na szczęście nie groziło im spotkanie ze zbójcami, bo w zachodniej Ameryce nie było już przedstawicieli tego szacownego fachu, a jeśli nawet byli, to zajmowali się transakcjami finansowymi na rynkach Starego i Nowego Kontynentu... Jakież koniec spotkał prawników Karla Moora<sup>2</sup> i Jeana Sbogara<sup>3</sup>! Któż mógł się oddawać tego typu rozmyślaniami, jeśli nie Yvernès? „Zdecydowanie – pomyślał – sztuka nie jest godna dekoracji!”.

---

<sup>1</sup> *Mamutowe drzewo* (mamutowiec olbrzymi, sekwojadendron, welingtonia, *Sequoia-dendron giganteum*, *Wellingtonia gigantea*) – zimozielone drzewo z rodziny cypryśnikowatych; występuje w górach Sierra Nevada (Kalifornia); kora czerwonobrazowa, gruba; igły ciemnozielone, sztydłowe, krótkie; szyszki zdrewniałe, jajowate; osiąga wiek szacowany na 1500-3500 lat; jedno z najpotężniejszych drzew świata – znane okazy o wysokości 130 m i średnicy pnia powyżej 10 m.

<sup>2</sup> *Karl Moore* – bohater dramatu *Zbójcy* Friedricha Schillera.

<sup>3</sup> *Jean Sbogar* – tytułowy bohater powieści Charlesa Nodiera.



Nagle Pinchinat stanął w miejscu. Idący za nim Frascolin zrobił to samo.

Chwilę później dołączyli do nich Sébastien Zorn i Yvernès.

– Co się dzieje? – spytał drugi skrzypek.

– Chyba widziałem... – zaczął altowiolista.

W jego słowach nie było ani krzty żartu. Rzeczywiście między drzewami poruszyła się jakaś postać.

– Zwierzę czy człowieka? – zapytał Frascolin.

– Tego nie wiem.

Żaden z nich nie ośmielił się powiedzieć, co jego zdaniem byłoby lepsze. Rozglądali się, stojąc blisko siebie, nieruchomo, w milczeniu.

Promienie księżyca, które przedarły się przez wyrwę w chmurach, załazy kopułę ciemnego lasu i przenikając między gałęziami sekwoi, sięgnęły gruntu. Wszystko w promieniu stu kroków stało się widoczne.

Pinchinat nie dał się zwieść złudzeniu. Owa postać, zbyt duża na człowieka, mogła być jedynie wielkim czworonożnym zwierzęciem. Cóż to był za czworonóg? Drapieżnik? Niewątpliwie dzika bestia... Lecz jaki drapieżnik?

– Stopochodny!<sup>1</sup> – skwitował Yvernès.

– Do diabła z tym zwierzem – wyszeptał Sébastien Zorn wyczuwalnie niecierpliwym tonem. – Mówiąc zwierzę, mam na myśli ciebie, Yvernès! Nie możesz mówić po ludzku...? Co rozumiesz przez zwierzę stopochodne?

– Zwierzę, które chodzi na podszwach swych stóp! – wyjaśnił Pinchinat.

– Niedźwiedź! – odpowiedział Frascolin.

Rzeczywiście był to niedźwiedź, wielki, niezgrabny niedźwiedź. W lasach Dolnej Kalifornii nie było ani lwów, ani tygrysów, ani panter. Gospodarzami tutejszych ostępów były niedźwiedzie, a spotkania z nimi zasadniczo nie należały do najprzyjemniejszych.

---

<sup>1</sup> *Stopochodne* – zwierzęta, które chodząc, opierają na ziemi całą podszwę stóp; zalicza się do nich głównie człekokształtne i niedźwiedzie, a także szopy, oposy, króliki, pandy i liczne inne, głównie małe zwierzęta.



Żaden z nich nie ośmielił się powiedzieć, co jego zdaniem byłoby lepsze.  
Rozglądali się, stojąc blisko siebie, nieruchomo, w milczeniu.

Nic więc dziwnego, że paryżanie jak jeden mąż postanowili zejść z drogi temu stopochodnemu zwierzęciu. Zresztą, było u siebie... Kwartet zwarł szyki i wycofał się rakiem, twarzą do zwierzęcia, powoli, spokojnie, nie próbując uciekać.

Zwierzę kroczyło powoli, poruszając przednimi łapami niczym ramionami semafora<sup>1</sup> i kołysząc biodrami niczym spacerująca *manola*<sup>2</sup>. Stopniowo się zbliżało, a jego zachowanie stawało się coraz bardziej wrogie – chrypliwe porykiwanie i szczekanie zębami nie miały w sobie nic uspokajającego.

– A może się rozproszymy każdy w swoją stronę...? – zaproponował Jego Wysokość.

– Nie róbmy czegoś takiego!! – odparł Frascaolin. – Jeden z nas zostałby schwytany i zapłaciłby życiem za pozostałych!

Nie popełnili tego nierozważnego kroku, więc obyło się bez niefortunnnych konsekwencji.

Idąc w zwartej grupie, kwartet dotarł do skraju polany, gdzie ciemność nie była tak wielka. Niedźwiedź był blisko, dzieliło ich zaledwie kilkanaście kroków. Czy owo miejsce wydało mu się odpowiednie do ataku...? Możliwe, bo zaczął ryczeć ze zdwojoną siłą i przyspieszył kroku.

Grupa wycofała się w pośpiechu, a drugi skrzypek wydał nąprędce takie zalecenia:

– Zachowajcie zimną krew... zimną krew, moi przyjaciele!

Po drugiej strony polany mogli się schronić pośród drzew, choć i tam niebezpieczeństwo nie było wcale mniejsze. Zwierzę, które podchodziło raz do jednego pnia, raz do drugiego, mogło skoczyć, a jego ataku nie sposób było przewidzieć; stałoby się tak niechybnie, lecz wtem straszliwe pomruki ustały, a zwierzę zwolniło kroku...

---

<sup>1</sup> *Semafor* (telegraf semaforowy) – urządzenie sygnalizacyjne zbudowane przez Francuza C. Chappe'a około 1791 roku, złożone ze słupa i dwóch ramion, za pomocą których można było (przez odpowiednie ustawianie) przekazywać wiadomości.

<sup>2</sup> *Manola* (także *Maja*) – dawniej określenie kobiety z niższych klas w społeczeństwie Hiszpanii, zwłaszcza młodych mieszkanek Madrytu i innych wielkich miast, wyróżniających się barwnym, przesadnie eleganckim strojem i tupetem; były często przedstawiane w malarstwie (np. *Maja ubrana* i *Maja naga* Goyi) i literaturze XVIII-XIX wieku.

Gęsty mrok wypełnił się przenikliwą muzyką, ekspresyjnym *largo*<sup>1</sup>, w którym artysta obnaża całą swoją duszę.

To Yvernès, który wyjął skrzypce z futerału, wprowadził struny w drganie, muskając je pieszczotliwie smyczkiem. Genialny pomysł! Dlaczego muzyka nie miałaby wybawić kwartetu z opresji? Czy kamienie poruszone grą Amfiona<sup>2</sup> nie ułożyły się same w mur otaczający Teby? Czy dzikie zwierzęta oswojone lirycznym natchnieniem Orfeusza<sup>3</sup> nie kładły się u jego stóp? Wyglądało na to, że pod wpływem atawistycznych skłonności ten kalifornijski niedźwiedź był równie artystycznie uzdolniony jak przedstawiciele jego gatunku opisywani w baśniach, gdyż jego drapieżność usunęła się w cień, a górę wziął instykt melomana. W miarę jak kwartet się cofał, niedźwiedź kroczył w ślad za nim, wydając z siebie pomruki typowe dla miłośnika muzyki. Jeszcze chwila i krzyknąłby: „brawo!”.

Kwadrans później Sébastien Zorn i jego towarzysze znaleźli się na skraju lasu. Wyszli z niego, podczas gdy Yvernès nieprzerwanie grał na skrzypcach...

Zwierzę się zatrzymało. Wydawało się, że nie ma zamiaru iść dalej. Niedźwiedź uderzał jedną wielką łapą o drugą.

Wtedy Pinchinat wyjął swój instrument i zawołał:

– Niedźwiedzi taniec, żwawo!

Później, podczas gdy pierwszy skrzypek rzępolił z całej siły ten jakże znany muzyczny motyw w skali durowej, altowiolista wsparł go przenikliwymi basowymi dźwiękami na submediancie<sup>4</sup>...

---

<sup>1</sup> *Largo* – samodzielny lub będący częścią większej kompozycji utwór muzyczny utrzymany w tempie bardzo powolnym, szybszym niż *grave* i wolniejszym niż *largo*.

<sup>2</sup> *Amfion* – w mitologii greckiej syn Zeusa i królowny tebańskiej Antiope, król Teb, muzyk i poeta; jego gra na kitarze sprawiła, że kamienie same ułożyły się w tebański mur o siedmiu bramach (7 strun kitary).

<sup>3</sup> *Orfeusz* – w mitologii greckiej śpiewak, muzyk i poeta z Tracji, uznawany za syna boga rzeki Ojagrosa i muzy Kaliope; grą i śpiewem uspokajał fale morskie i dzikie zwierzęta, poruszał drzewa i skały, łagodził gniew ludzi; dzięki temu zdołał dotrzeć do Hadesu, aby uwolnić ukochaną Eurydykę.

<sup>4</sup> *Submedianta* (zwana inaczej mediantą dolną lub mediantą VI stopnia) – w skali durowej lub molowej nazwa VI stopnia gamy.

Zwierzę zaczęło tańczyć, unosząc raz prawą, raz lewą stopę, szamocząc się i skręcając, pozwalając w tym czasie oddalić się muzykom.

– Phi! To tylko cyrkowy niedźwiedź – zauważył Pinchinat.

– Nieważne! – odparł Frascolin. – Ten diabeł Yvernès miał za-cny pomysł!

– Uciekajmy... *allegretto*<sup>1</sup> – odrzekł wiolonczelista – nie oglądając się za siebie!

Było około dziewiątej wieczorem, kiedy czterej uczniowie Apollina dotarli cali i zdrowi do Freschal. Ostatni odcinek drogi przeszli żwawym krokiem, chociaż stopochodne zwierzę przestało deptać im po piętach.

Freschal, miasteczko położone dwie mile od wybrzeża, składało się z czterdziestu domów, a raczej drewnianych domków wznoszących się wokół placu obsadzonego bukami.

Artyści wślizgnęli się między kilka zabudowań stojących w cieniu wielkich drzew, wyszli na plac, w głębi którego widać było skromną dzwonnice prostego kościoła, stanęli w kręgu, jak gdyby mieli dać okolicznościowy występ, i znieruchomieli w tym miejscu, aby porozmawiać.

– To ma być miasteczko...? – powiedział Pinchinat.

– Chyba nie oczekiwałeś, że to będzie miasto na miarę Filadelfii albo Nowego Jorku? – odparł Frascolin.

– Wasze miasteczko już śpi! – skwitował Sébastien Zorn, wzszaając ramionami.

– Nie budźmy tego śpiącego miasteczka! – westchnął melodyjnie Yvernès.

– Wręcz przeciwnie, obudźmy je! – wykrzyknął Pinchinat.

W istocie należało obudzić miasteczko, chyba że ktoś zamierzał spędzić noc pod gołym niebem.

Zresztą na placu nie było żywego ducha, panowała zupełna cizsa. Ani jedna okiennica nie była uchylona, ani jedno światelko nie pokazywało się w oknach. W takiej cichej i spokojnej okolicy mógłby się wznosić pałac z baśni o *Śpiącej Królownie*.

---

<sup>1</sup> *Allegretto* – tempo umiarkowane, wolniejsze niż allegro.

– No dobrze, a gdzie jest zajazd? – zapytał Frascolin.

Tak... zajazd, o którym mówił woźnica, gdzie podróżni w potrzebie powinni znaleźć gościnę i schronienie...? I oberżysta, który pospiesznie wysłałby pomoc nieszczęsnemu woźnicy? Czy temu biedaczynie przyśniło się to wszystko...? Albo – inna sugestia – może Sébastien Zorn i jego gromadka zabłądzili...? Czy naprawdę było to miasteczko zwane Freschal...?

Na te najróżniejsze pytania trzeba było znaleźć stanowczą odpowiedź. Należało zatem wypytać jednego z mieszkańców tej krainy, czyli należało zapukać do drzwi jednego z domków, najlepiej do drzwi zajazdu, jeśli – jakimś szczęśliwym zbiegiem okoliczności – udałoby się go znaleźć.

Tak więc czterej muzycy zabrali się do rozpoznania zabudowań stojących wokół spowitego mrokiem placu, dotykali fasad, próbując dostrzec szyld zawieszony nad jakimś wejściem... Żaden budynek nie wyglądał na zajazd.

Jeśli nie zdołali odnaleźć zajazdu, to jednak w miasteczku musiało być jakieś gościnne domostwo, a skoro nie byli w Szkocji, to postanowili działać po amerykańsku. Czy jakiś mieszkaniec Freschal odmówiłby kolacji i noclegu za jednego, a nawet dwa dolary od osoby?

– Zapukajmy – powiedział Frascolin.

– Miarowo – dodał Pinchinat – w metrum sześć ósmych!

Pukali trzykrotnie, a może czterokrotnie, bez skutku. Nie otworzyły się żadne drzwi ani żadne okno, choć Koncertujący Kwartet pukał do ponad tuzina domów, czekając na odpowiedź.

– Pomyliliśmy się – oświadczył Yvernès... – To nie jest miasteczko, to cmentarz, gdzie wszyscy śpią snem wiecznym... *Vox clamantis in deserto*<sup>1</sup>.

– Amen... – odpowiedział Jego Wysokość tubalnym głosem katedralnego kantora<sup>1</sup>.

---

<sup>1</sup> *Vox clamantis in deserto* (łac.) – głos wołającego na pustyni (wg Ewangelii słowa św. Jana Chrzciciela o jego misji).

Cóż począć wobec tego zupełnego milczenia? Iść dalej w kierunku San Diego? To niechybnie oznaczałoby śmierć z głodu i zmęczenia... Co więcej, którą drogą podążać, bez przewodnika, pośrodku tej ciemnej nocy...? Trzeba spróbować dotrzeć do innej osady! Której...? Według woźnicy nie było innej osady w tej części wybrzeża... To tylko spowoduje, że jeszcze bardziej zabłądzą... Najlepiej poczekać do rana! Gdzie jednak spędzić pół tuzina godzin bez schronienia, pod niebem pełnym ciężkich, nisko wiszących chmur, z których w każdej chwili może spaść ulewny deszcz – taka propozycja nie była atrakcyjna, nawet dla artystów.

Wtedy Pinchinat wpadł na pewien pomysł. Jego pomysły nie zawsze były doskonałe, ale miał ich w zanadru naprawdę sporo. Ten, na który wpadł, zyskał akceptację mądrego Frascalina.

– Moi przyjaciele, dlaczego rozwiązanie, które sprawdziło się w przypadku niedźwiedzia, miałyby nie zadziałać w kalifornijskiej osadzie? Oswoiłmy to stopochodne zwierzę odrobiną muzyki... Obudzimy tych wiejskich ludzi energicznym koncertem, nie szczędząc im ani *forte*, ani *allegro*...

– Można spróbować – odpowiedział Frascalin.

Sébastien Zorn nawet nie dał Pinchinatowi dokończyć zdania. Wyjął z futerału wiolonczelę i ustawiwszy ją na stalowej nóżce, stał ze smyczkiem w ręku, ponieważ nie miał do dyspozycji krzesła, i szykował się do wydobywania z pudła rezonansowego wszystkich drzemiących w nim dźwięków.

Prawie natychmiast jego towarzysze także byli gotowi, by pójść za nim aż na rubieżę sztuki.

– Kwartet *B-dur* Onsłowa<sup>2</sup> – powiedział. – Dalej... Miarowo albo wcale!

Znali ten kwartet Onsłowa na pamięć, a dobrzy instrumentalisci nie muszą widzieć nut, aby wodzić swoimi zręcznymi palcami po strunach wiolonczeli, dwójga skrzypiec i altówki.

---

<sup>1</sup> Kantor – muzyk kierujący śpiewem wiernych; w Kościele katolickim – duchowny (później też osoba świecka) wykonujący partie solowe, np. wersety w psalmach.

<sup>2</sup> André George Louis Onslow (1784-1853) – francuski kompozytor, tworzył głównie kwartety i kwintety smyczkowe.

Tak więc dali się ponieść własnemu natchnieniu. Być może nigdy wcześniej w kasynach i teatrach amerykańskiej Konfederacji nie grali tak kunsztownie i z takim zaangażowaniem jak w tej chwili. Przestrzeń wypełniła się wzniosłym, harmonijnym brzmieniem, któremu mogliby się oprzeć jedynie ludzie głusi. Gdyby byli na cmentarzu, jak twierdził Yvernès, to pod wpływem tej muzyki groby by się otworzyły, zmarli by wstali, a szkielety klaskały...

Tymczasem domy pozostały zamknięte, a śpiący mieszkańcy się nie pobudzili. Utwór zakończył się donośnym finałem, lecz Freschal nie dało znaku życia.

– A więc to tak! – wykrzyknął Sébastien Zorn, nie posiadając się ze złości. – Ich dzikim uszom potrzeba jazgotu, tak jak miejscowym niedźwiedzim... Dobrze! Zacznijmy od nowa, ale ty, Yvernès, grasz w tonacji *D*, ty, Frascolin w *E*, ty, Pinchinat, w *G*. Ja zostaję w *B-moll*, a teraz z całą siłą!

Cóż to była za kakofonia! Cóż za dźwięki rozrywające bębenki! Przypominało to tę improwizowaną orkiestrę pod batutą księcia Joinville'a<sup>1</sup> w nieznannej wiosce gdzieś w Brazylii. To tak, jakby wykonywać jakąś straszliwą symfonię na *vinaigriusach*<sup>2</sup> – grać utwór Wagnera od tyłu!

W gruncie rzeczy pomysł Pinchinata był doskonały. Czego nie udało im się osiągnąć wspaniałym wykonaniem, dokonali tą kocią muzyką. Freschal zaczęło się budzić. Tu i ówdzie za szybami ukazały się światła. Dwa lub trzy okna rozbłysły. Mieszkańcy miasteczka nie byli martwi, skoro dawali oznaki życia. Nie byli też głusi, skoro słyszeli i słuchali...

– Będą w nas rzucić jabłkami! – powiedział Pinchinat w czasie przerwy, bo choć muzycy zmienili tonację, to skrupulatnie trzymali się metrum.

– Ech, tym lepiej... bo my je zjemy! – odpowiedział pragmatyczny Frascolin.

---

<sup>1</sup> Franciszek Orleański, *książę Joinville* (1818-1900) – trzeci syn króla Francji Ludwika Filipa, wiceadmiral; w roku 1838 przybył do Brazylii, gdzie po kilku latach poślubił Franciszkę, siostrę cesarza Brazylii Pedro II.

<sup>2</sup> *Vinaigrius* (fr.) – kwaśny jak ocet, posepny, zły.



Wznowili grę pod dyktando Sébastiena Zorna. Potem, kiedy utwór skończył się żwawym akordem, zagranym doskonale w czterech różnych tonacjach, artyści przerwali grę.

Nie! Z dwudziestu, może trzydziestu szeroko otwartych okien posypały się w nich stronę nie tyle jabłka, ile oklaski, Hurra! i hip! hip! hip! Nigdy uszy mieszkańców Freschal nie zostały wypełnione takimi muzycznymi radościami! Nie ulegało wątpliwości, że wszyscy gospodarze ugoszczą hojnie tak niezrównanych wirtuozów.

Podczas gdy oni oddawali się instrumentalnemu porywowi, podszedł do nich na kilka kroków nowy słuchacz, którego przybycia nie dostrzegli. Ten osobnik, który wysiadł z rodzaju szarabanku<sup>1</sup> o napędzie elektrycznym, stał w rogu placu. Był to wysoki, dość korpulentny mężczyzna, przynajmniej tyle można było dostrzec w tę ciemną noc.

Podczas gdy paryżanie zastanawiali się nad tym, czy skoro mieszkańcy otworzyli okna, to otworzą również drzwi, aby ich przyjąć – co nie wydawało się takie pewne – nowy przybysz podszedł bliżej i doskonałą francuszczyzną zwrócił się do nich przyjaznym tonem:

– Panowie, jestem miłośnikiem muzyki i miałem wielką przyjemność was oklaskiwać...

– Podczas naszego ostatnio granego kawałka...? – zapytał ironicznie Pinchinat.

– Nie, panowie... Podczas pierwszego. Tylko kilka razy miałem okazję słyszeć równie kunsztowne wykonanie owego słynnego kwartetu Onslowa!

Nieznajomy był niewątpliwie znawcą muzyki.

– Jesteśmy panu wdzięczni za komplement... – odpowiedział Sébastien Zorn w imieniu towarzyszy. – Jeśli nasz drugi utwór nie rozerwał panu uszu, to...

– Panowie – odrzekł niezajomy, przerywając zdanie, które zapewne byłoby długie – nigdy nie słyszałem nikogo, kto grałby tak fałszywie z taką perfekcją. Zrozumiałem, dlaczego zdecydowali się

---

<sup>1</sup> *Szarabank* (fr. char à banc ‘wóz z ławkami’, ang. charabanc) – rodzaj bryczki, zwykle odkrytej, z ławkami ustawionymi przodem do kierunku jazdy, służący do przejazdów publicznych i wycieczkowych.



Wznowili grę pod dyktando Sébastiena Zorna.  
Kiedy utwór skończył się żwawym akordem, artyści przerwali grę.

panowie na taki krok. To dlatego, by obudzić poczciwych mieszkańców Freschal, którzy już ponownie zasnęli... Ech, panowie, za pozwoleniem, zaproponuję wam to, co w tak desperacki sposób próbują panowie osiągnąć...

– Gościnę? – zapytał Frascolin.

– Tak, gościnę, na wskroś szkocką. Jeśli się nie mylę, mam przed sobą Koncertujący Kwartet cieszący się sławą w całej naszej wspaniałej Ameryce, która nie szczędzi mu entuzjastycznych opinii...

– Doprawdy, schlebiają nam pańskie słowa – poczuł się w obowiązku powiedzieć Frascolin. – A gdzie możemy liczyć na ową gościnę dzięki pana uprzejmości?

– Dwie mile stąd.

– W innym miasteczku...?

– Nie... w mieście.

– Ważnym mieście?

– Niewątpliwie.

– Za pozwoleniem – zauważył Pinchinat – powiedziano nam, że przed San Diego nie ma innego miasta.

– To błąd... którego nie potrafię wyjaśnić.

– Błąd...? – zapytał Frascolin.

– Tak, panowie, a jeśli zechcecie mi towarzyszyć, obiecuję gościnę, na jaką zasługują artyści waszej miary.

– Proponuję przystać na tę propozycję... – powiedział Yvernès.

– Podzielał twoje zdanie – oświadczył Pinchinat.

– Chwileczkę... Chwileczkę...! – zawołał Sébastien Zorn. – Nie działajcie szybciej niż szef orkiestry!

– Co to znaczy...? – zapytał Amerykanin.

– To, że czekają na nas w San Diego – odparł Frascolin.

– W San Diego – dodał wiolonczelista – gdzie zaproponowano nam angaż do serii poranków muzycznych, z których pierwszy ma się odbyć pojutrze, w niedzielę...

– Ach! – odparł nieznajomy tonem zdradzającym dosyć mocne rozdrażnienie, a następnie dodał: – Nic nie szkodzi, panowie. Jutro będą mieli panowie czas, by zwiedzić miasto, które warto zobaczyć,

a ja zobowiązuje się, że odwiozę was do najbliższej stacji kolejowej, skąd dotrzecie do San Diego na oznaczoną godzinę!

Doprawdy, propozycja była kusząca i także mile widziana. Kwartet był przekonany, że znalazł porządną pokój w porządnym hotelu, nie mówiąc już o względach, jakie gwarantował im ten uczynny jegomość.

– Zgadza się, panowie...?

– Zgadza się – odpowiedział Sébastien Zorn, który z uwagi na głód i zmęczenie był skory do przyjęcia takiego zaproszenia.

– Doskonale – odparł Amerykanin. – Ruszamy za chwilę... Za dwadzieścia minut będziemy na miejscu i jestem pewny, że mi za to podziękujecie!

Nie ma potrzeby dodawać, że po ostatnich wiwatach wywołanych jazdzącym koncertem okna domów znowu się zamknęły. Światła pogasły, a miasteczko Freschal na nowo pogrzażyło się w głębokim śnie.

Amerykanin i czwórka artystów podeszli do szarabanku, muzycy położyli swoje instrumenty i zajęli miejsce z tyłu, podczas gdy Amerykanin usiadł z przodu, blisko kierowcy-mechanika. Kierowca zwolnił dźwignię, uruchamiając akumulatory elektryczne, pojazd ruszył i po chwili nabrał prędkości, kierując się na zachód.

Po kwadransie pojawiła się szeroka biaława luna, jak gdyby była to olśniewająca poświata księżycowych promieni. Były to światła miasta, którego istnienia nasi paryżanie się nie spodziewali.

Szarabank zatrzymał się, a wówczas Frascolin powiedział:

– Wreszcie jesteśmy na wybrzeżu.

– To nie jest wybrzeże... – odpowiedział Amerykanin. – To rzeka, którą musimy przebyć...

– W jaki sposób? – zapytał Pinchinat.

– Tym oto promem, na który wjedzie szarabank.

W istocie był tam prom, jeden z tak licznych w Stanach Zjednoczonych, i na ten właśnie prom wjechał szarabank, na którego ławach siedzieli pasażerowie. Bez wątplenia ów statek był napędzany elektrycznie, ponieważ nie produkował żadnej pary i w ciągu dwóch

minut pokonał rzekę, przybijając do nabrzeża basenu położonego w głębi portu.

Szarabank pojechał dalej wiejskimi drogami, zagłębił się w park, nad którym wisiały napowietrzne aparaty rzucające intensywne światło.

W ogrodzeniu owego parku brama dawała dostęp do szerokiej i długiej ulicy wyłożonej dźwięczącymi pod kołami płytami. Pięć minut później artyści wysiedli u stóp schodów luksusowego hotelu, w którym przyjęto ich z dobrze wróżącym pośpiechem, dzięki słówku szepniętemu przez Amerykanina. Natychmiast zaprowadzono ich do suto nakrytego stołu, gdzie mogli, jak łatwo się domyślić, zjeść smaczną kolację.

Po skończonym posiłku kamerdyner zaprowadził ich do przestronnego pokoju oświetlonego lampami żarowymi, które po naciśnięciu przełącznika zamieniały się w lampki nocne. Tam wreszcie, odłożywszy na kolejny dzień wyjaśnienie owych cudów, zasnęli w czterech łózkach ustawionych w czterech kątach pokoju, a potem chrapali w tym niebywale zgodnym rytmie, który rozsławił ich jako Koncertujący Kwartet.



**Chcesz przeczytać dalszą część?**

***Zapraszamy do księgarni!***